



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Janina Czaplńska

Kromka chleba

Po Powstaniu Warszawskim około 6 października 1944 roku służbowo opuściłam stolicę. Mieliśmy wyznaczoną trasę ewentualnych spotkań. Szlak prowadził przez Milanówek, Piotrków, Częstochowę, Kraków. Pracowałam wówczas w Sekretariacie Delegata Rządu RP na Kraj. Niestety dotarłszy z moim ówczesnym szefem do obozu przejściowego w Pruszkowie, po paru zaledwie godzinach zostaliśmy wywiezieni do Niemiec. Po miesiącu włości po różnych niemieckich miejscowościach dotarliśmy do Turynii, w pobliże miasta Eisenach. Tam nas skierowano do pracy w Leinbach. Pracowaliśmy w podziemiu, w fabryce amunicji przy produkcji bomb trotylowych.

Od połowy lutego 1945 roku pracowałam już na południu Niemiec w okolicach Stuttgartu jako więźniarka w fabryce broni w Rudersbergu. Było to więzienie dla około 200 kobiet. Tu praca była lżejsza niż poprzednia, chociaż nadal dwanaście godzin dziennie. Więźniarki były różnego pochodzenia: Francuzki, Polki, Rosjanki, ale też i Niemki (podobno za fałszowanie kartek żywnościowych). Żywiono nas głównie brukwią i jakimiś produktami ziemnymi, które jednak mało przypominały ziemniaki. Chleb dostawaliśmy tylko raz na tydzień i to mały kawałek.

Tragiczne zdarzenie miało miejsce w kwietniu, na parę tygodni przed kapitulacją Niemiec. Dochodziły już wtedy do nas luźne, przypadkowe wieści, że zbliża się koniec wojny. Słyszeliśmy też odgłosy działań wojennych.

Przyjaźnie zdarzały się zawsze i powstawały nawet w warunkach więziennych. I też zaprzyjaźniły się ze sobą dwie młode dziewczęta w wieku 18 lat. Niemka z Francuzką – Maria i Jacqueline. Postanowiły uciec z więzienia. Niemka pochodziła z tamtych stron, znała teren, miała tam rodzinę i liczyła na pomoc tamtejszych ludzi. Obie zdecydowały się na ucieczkę w momencie zamieszania przy rannym myciu, bo nas, te 200 osób tłoczono w umywalniach, gdzie było tylko kilkanaście umywalek. Działo się to około godziny 4-ej rano. Niestety kierownictwo zakładu dość szybko zorientowało się, że brakuje dziewcząt i około południa już je odnaleziono i doprowadzono z powrotem do więzienia. Nas – pozostałe więźniarki – wysłano tego dnia do pracy, a obie dziewczyny potwornie zbito i pokrwawione postawiono przed nami pod ścianą w sali, w której dawano nam posiłki. I wtedy do nas – gromady więźniarek – powiedziano: „jak je zbijecie i im dołożycie, to możecie usiąść przy stołach i zjeść po kawałku chleba”. A chleb – zawsze tak bardzo upragniony – tym razem leżał na stołach w większej ilości niż zwykle. Żadna jednak z więźniarek nie zbliżyła się do tych biednych i pokrwawionych dziewcząt. Chleba tego dnia żadna z nas nie jadła i nie było też żadnego innego posiłku, nawet wody do napicia się. Jacqueline – Francuzka, po tym okropnym pobiciu zmarła po dwóch dniach, a Niemkę chorą przeniesiono jakoby do innego obozu karnego.

A z chlebem było tak: był dla nas najważniejszym i najlepszym pożywieniem. Był posiłkiem stosunkowo najlepszym z tego, co nam dawano tam do jedzenia. To nasze wtedy wyrzeczenie się tej kromki chleba było dużą ofiarą, tym bardziej, że my Polki – te zwłaszcza z Powstania Warszawskiego – byłyśmy jeszcze bardziej go spragnione. Nam chleba w ostatnich dniach Powstania też brakowało. Żywiliśmy się bowiem tylko plackami pieczonymi z mąki mielonej w danego typu młynkach do kawy. I dlatego do dziś jeszcze to wydarzenie mam w swojej pamięci i nie zapomnę do końca życia.

Ze mną w więzieniu były jeszcze dwie koleżanki łączniczki z AK. Wszystkie trzy przeżywałyśmy tragedię tych dziewcząt pragnących wolności.

Niedługo nastąpiła kapitulacja Niemiec, ale nie od razu mogliśmy wrócić do kraju, gdzie mogłybyśmy już do woli kupić chleba, który odtąd stał się dla nas po norwidowsku „darem nieba” – symbolem człowieczej godności. I odtąd staramy się zawsze, aby go w naszych domach nigdy nie zabrakło. Aby zawsze choć kromka chleba pozostała do jutra.